

Ideowe horyzonty Joe Bidena. Rozmowa z Tomaszem Żyrą

Gdyby administracja prezydenta Joe Bidena zamierzała powrócić do polityki międzynarodowej sprzed Donalda Trumpa, to mielibyśmy paradoks. Zazwyczaj wskazówki zegara chcieli zawrócić tradycjoniści, teraz zamierzają to zrobić liberałowie i radykałowie. Ciekawa koncepcja radykalnej palingenezy. Czy jednak możliwa w sytuacji, kiedy hegemonia amerykańska jest kwestionowana coraz wyraźniej? – mówi Tomasz Żyro w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Ameryka Bidena. (Geo)polityczne wyzwania”.

Hanna Nowak (Teologia Polityczna): Gniew na szeroko rozumiany waszyngtoński *establishment* zmiotł w poprzednich wyborach Hillary Clinton oraz wielu umiarkowanych republikańskich kandydatów i wyniósł do władzy Donalda Trumpa. W tych wyborach wygrał Joe Biden, zawodowy polityk. Czy różni się on czymś od rdzenia swojej macierzystej partii, że udało mu się pozyskać głosy niezdecydowanych wyborców? Czy przeważało niezadowolenie z Donalda Trumpa?

Tomasz Żyro (politolog, Uniwersytet Warszawski): Dzisiaj już wiemy, że problem jest bardziej złożony niż podpowiada to tradycyjne podejście do wyborów prezydenckich jako starcia osobowości w kampanii wyborczej opartych na bezpośrednim albo zapośredniczonym przez środki audiowizualne kontakcie z wyborcą. Wybory, zwłaszcza te

prezydenckie, są także testem organizacyjnej sprawności sztabów wyborczych. Ich skuteczność jest łatwo mierzalna w zebranych funduszach. Zazwyczaj mniejsze problemy w tym względzie mieli republikanie, tradycyjnie lepiej zakorzenieni w świecie biznesu. Sytuacja zmieniła się znacząco podczas poprzednich wyborów, kiedy to Hilary Clinton po serii znaczących ułatwień dla Wall Street, nie miała żadnych problemów z zebraniem ponad 1 miliarda dolarów na kampanię. I prowadziła ją, używając sloganów wyborczych charakterystycznych dla demokratów: likwidowania nierówności, rozwoju programów ubezpieczeń społecznych i zdrowotnych znanych jak Obamacare, itd. Był to niewątpliwie szczyt hipokryzji politycznej, który nie spodobał się nawet wyborcom Partii Demokratycznej. Problemy z Bernie Sandersem zostały rozwiązane dopiero podczas narodowej konwencji, albowiem klan Clintonów kontrolował maszynę partyjną.

Wybory kosztują. Miejsce w Senacie oznacza wydatek kilku do kilkudziesięciu milionów dolarów. Senator tuż po zwycięstwie rozpoczyna nową kampanię. Obliczono, że każdego dnia musi zdobyć kilkanaście tysięcy dolarów do darczyńców. Na dodatek istnieją ściśle przepisy, ile może darować osoba prywatna, ile określona firma. Kandydatowi pomagają tzw. PACs (Political Action Committees). Niektóre miejsca w Senacie są horrendalnie drogie. Z tego wynika, że sprawa zdobycia nie tylko miejsca w dwuizbowym Kongresie, a więc w Izbie Reprezentantów i Senacie, ale także fotela prezydenckiego, nie jest prosta. USA są republiką federalną, a więc walka o Biały Dom rozgrywa się w poszczególnych stanach, poczynając od prawyborów. Na dodatek, prezydenta wybiera Kolegium Elektorów, którzy są delegowani przez legislatury poszczególnych stanów. W wielu z nich obowiązuje zasada, że zwycięzca bierze wszystkie głosy elektorskie.

Te wybory przebiegały znacząco inaczej. W ich tle toczyła się dyskusja na temat zwalczania epidemii koronawirusa i osłabienia gospodarki amerykańskiej. Zmienił się drastycznie sposób komunikacji politycznej za sprawą tzw. mediów społecznościowych, choć to rodzaj nowomowy, która ukrywa prawdziwy charakter i status koncernów elektronicznych, zwłaszcza tzw. GAFAM. Już badania treści politycznych w głównych gazetach amerykańskich pokazywały, jaki problem staje przed ekipą Donalda Trumpa. Grupa politologów z Uniwersytetu Harvarda ustaliła, że ponad 90% artykułów dotyczących prezydenta przedstawiało go nie tylko w niekorzystnym świetle, ale powiększało klimat wrogości. Potem doszły manipulacje w cyberprzestrzeni, zmiana prawa wyborczego w ostatniej chwili, głosowanie korespondencyjne, liczenie głosów, kontrola wyników wyborów. Generalnie system przedstawicielski zaczyna otaczać atmosfera nieufności, a przecież reprezentacja polityczna to jeden z filarów demokracji liberalnej.

Teraz dowiadujemy się o tajnym porozumieniu amerykańskich central związkowych z koncernami medialnymi. Koncerny zawiadujące cyfrową komunikacją mają także do dyspozycji sztuczną inteligencję, przy pomocy której można modelować nastroje społeczne. Najlepiej je „rozhuścić” i zradykalizować. Taki był cel sownie finansowanej akcji Black Lives Matter. Na koniec wydarzenia styczniowe w Kongresie. Ta akcja uniemożliwiła wysłuchanie w Izbie Reprezentantów skarg na nieprawidłowości wyborcze. Rzecz istotna, bo to ta Izba ostatecznie akceptuje mandat wyborczy elektorów i to w głosowaniu stanami, a nie poszczególnych członków Izby. Taką większość ma Partia Republikańska.

Zarówno George W. Bush jak i Barack Obama wierzyli w pewną misję dziejową USA, co wpływało na ich politykę międzynarodową. Donald Trump i jego zaplecze uważali to za zbyt idealistyczną postawę i promowali pragmatyczne podejście do polityki zagranicznej. Jakie są poglądy Joe Bidena na ten temat i czy powrót do doktryn polityki międzynarodowej sprzed Trumpa jest możliwy? Również jeśli chodzi o uzyskanie dla niego poparcia społecznego?

Długo by mówić o tzw. idealistycznym i realistycznym podejściu do polityki zewnętrznej. A zwłaszcza o obecnej od czasów Manifest Destiny tezy o wyjątkowości USA. Takie elementy były obecne i w polityce Donalda Trumpa. Jego bojowe zawołanie „Po pierwsze Ameryka” zawierało z jednej strony twardą obronę interesów amerykańskich, a z drugiej strony obecne były elementy misji dziejowej, jaką realizuje cywilizacja amerykańska. Już neokonserwatyści zwracali na nierównowagę wkładu amerykańskiego i europejskiego w NATO. W Polsce ukazała się jedna z ważniejszych pozycji na ten temat: Roberta Kagana *Raj i potęga*. W relacjach polsko-amerykańskich fakt zaangażowania finansowego w NATO był nieźle rozgrywany.

Gdyby administracja prezydenta Joe Bidena zamierzała powrócić do polityki międzynarodowej sprzed Donalda Trumpa, to mielibyśmy niezły paradoks. Zazwyczaj wskazówki zegara chcieli zawrócić tradycjoniści (restauracja monarchii francuskiej w 1815 r.), teraz zamierzają to zrobić liberałowie i radykałowie. Ciekawa koncepcja radykalnej palingenezy. Czy jednak możliwa w sytuacji, kiedy hegemonia amerykańska jest kwestionowana coraz wyraźniej? I to nie

tylko przez Chiny, ale także w Europie. Organizacje międzynarodowe osłabły, podobnie „moc” prawa międzynarodowego. A na dodatek, zamiast porządku globalnego, mamy narastającą entropię.

Lewe skrzydło demokratów bardzo podkreśla problem nierówności społecznych. Proponują w związku z tym wyższe podatki dla największych firm i najbogatszej warstwy społecznej czy nacjonalizację służby zdrowia (np. Bernie Sanders). Te pomysły, dość nowatorskie w Stanach, zyskują coraz większe poparcie społeczne. Czy według Pana Partia Demokratyczna będzie szła w tym kierunku?

Radykałowie kryją się pod następnym określeniem ze sfery nowomowy, określając siebie progresistami. Rzadko pada niewygodne określenie „socjalista”. Senator Bernie Sanders odczarował to określenie. Społeczeństwo amerykańskie zostało podzielone, także poprzez manipulacje w sferze komunikacji społecznej i języka, na dwa plemiona.

Dobrze przypomnieć program polityczny Baracka Obamy, albowiem większość ludzi w administracji Bidena to akolici poprzedniego prezydenta. Obama startował z wielkim poszumem zwalczania nierówności społecznych, także ekonomicznych. Efekty Obamacare są zaskakujące w tym znaczeniu, że stworzyły nowe nierówności. Jednak najważniejsza jest analiza stratyfikacji społecznej. Otóż w czasie prezydentury tego zawołanego egalitarysty doszło do największych nierówności ekonomicznych w historii republiki amerykańskiej.

Dzisiaj rysuje się bardzo wyraźna rywalizacja świata biznesu z państwem. Wydaje się, że okres nieświętego przymierza państwa z wielkim biznesem może zostać poddany wielkiej próbie. To przecież dzięki koncernom medialnym zwyciężył Joe Biden. Teraz mogą zagrozić władzy politycznej, odbierając wiele kompetencji państwu. Zobaczymy, jak będą się toczyć przesłuchania w Senacie prezesów GAFAM. I jak zostaną potraktowane pozwy sądowe koalicji stanów. Suwerenność, atrybut władzy państwowej, zostaje rozparcelowana. Jeśli politycy mają instynkt zachowawczy, zaczną się wielkie starcie w ramach globalnego resetu.

Jak wiadomo, Joe Biden jest katolikiem, jednak w wielu sprawach głośuje niezgodnie z nauczaniem KK. Czy Katolicka Nauka Społeczna odgrywa jakąkolwiek rolę w agendzie nowego prezydenta?

Czy Joe Biden wie cokolwiek na temat Katolickiej Nauki Społecznej? Jego katolicyzm to wygodny fakt do zbierania głosów wśród katolików amerykańskich. Przypominam sobie scenę, kiedy Donald Tusk wziął ślub kościelny tuż przed początkiem kampanii wyborczej. Sytuacja jest podobna. Na dodatek niektórym hierarchom Kościoła w USA taka sytuacja nie przeszkadza. I znajdują posłuch u papieża. Wielkie zamieszanie i krzyk sumienia to pierwsze skutki tej politycznej „wrzutki” w świat amerykańskich katolików.

Poza tym jest sprawa spłaty długów politycznych. Kariera polityczna Kamali Harris jest związana z kalifornijskim oddziałem Planned Parenthood. Teraz jest wiceprezydentem USA szykowanym na

prezydenta. Wpływy radykałów mierzone są programami społecznymi, jakie będzie wprowadzać administracja Bidena. I to z reperkusjami międzynarodowymi. Już następuje powrót do polityki promowania i finansowania różnych dziwolągów obyczajowych. Moją faworytką czasów Obamy była Pani Susane Rice, jego doradca ds. bezpieczeństwa narodowego. Wpisała przecież w państwową doktrynę bezpieczeństwa narodowego obronę na całym świecie praw mniejszości seksualnych. Pamiętam jej płomienną obronę, kiedy w charakterystycznym języku radykałów zwróciła się do „braci i siostr na świecie”, mając na myśli wcale nie mężczyzn i kobiety. Teraz też pojawiła się w administracji Bidena jako szef Council for Public Policy, bardzo ważnej instytucji w kształtowaniu polityki wewnętrznej. To stanowisko nie wymaga zgody Senatu. Mogłaby mieć tam problemy.

Ostatnimi czasy jednym z gorętszych tematów dyskusji jest funkcjonowanie mediów społecznościowych – przeważnie amerykańskich firm. Zwraca się uwagę na problem wtłaczania użytkowników w bańki informacyjne, skutkujące polaryzacją społeczną, brakiem jasnych reguł i arbitralnością przy usuwaniu treści oraz użytkowników. Kłopotliwa jest również ich monopolistyczna pozycja. Czy po Joe Bidenie i Partii Demokratycznej można spodziewać się jakiejś próby regulacji tego stanu rzeczy? Jeśli tak, to jakiej?

Już o tym wspominałem. Problem narasta. I nie chodzi tylko o monopolistyczną pozycję. W wyniku zamknięcia ludzie stają się jeszcze bardziej „zewnątrzsterowni”, plastycznie urabiani przez określony przekaz. Ten przekaz jest jednowymiarowy i polega na opanowaniu języka, przekształcaniu go, a więc i sterowania dyskursem publicznym. Nadchodzi epoka wykluczania: z debaty, progresywnej interpretacji

przeszłości, w której nie ma miejsca na ludzi dowolnie uznawanych za ciemiężców. Definicja ucisku jest płynna: najpierw ofiarą padali tacy politycy jak John Caldwell Calhoun, teraz Jerzy Waszyngton, Tomasz Jefferson i Abraham Lincoln. Nadejdzie pora na feministki, jako zbyt mało radykalne, potem rewolucja połknie swoje inne dzieci. Spory ideologiczne są jednak przysłoną dla procesów postępującej oligarchizacji życia społecznego w USA. Im więcej wołań o równość, tym więcej nierówności.

Zmiana klimatu była jedną z priorytetowych kwestii kampanii prezydenckiej, a ponowne przystąpienie do porozumienia paryskiego jedną z pierwszych decyzji Joe Bidena na stanowisku. Czy administracja nowego prezydenta może przyjąć politykę klimatyczną podobną do KE? Na jakie poparcie społeczne może liczyć Biden podczas wprowadzania nowych rozporządzeń dotyczących globalnego ocieplenia?

Tak, to jeden z priorytetów polityki wewnętrznej i światowej. Problem w tym, że w jego otoczeniu jest kilku dostojników, którzy tą kwestią się zajmują, w tym specjalny wysłannik ds. klimatu John Kerry. Rozumiem, że nadchodzi czas ekologicznego ketchupu, ponieważ jest on współwłaścicielem koncernu Heinz.

Nastąpi nieunikniony konflikt w obrębie administracji co do kierunku, środków, metod wprowadzania polityki klimatycznej. Gra jest o wielkie pieniądze. W tej sytuacji uprzywilejowaną pozycję ma być wiceprezydent z ramienia demokratów Al Gore. Od dawna tkwi w tym biznesie. I będzie jeszcze bogatszy. Co się stanie jednak z globalnym ociepleniem, kiedy nastąpi epoka małego zlodowacenia, jak to było od

XIV do co najmniej XVII wieku? Nie wygląda na to, żeby w takim przypadku groził nam kolejny potop szwedzki. Natomiast porównanie dzisiejszej epidemii z „czarną śmiercią” (jej skutki także potęgowane przez oziębienie planety) byłoby wręcz niestosowne.

Rozmawiała Hanna Nowak

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego*

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.